

Świat według Ciumka 3

Z poprzednich felietonów zapewne już wiecie, że zasadniczo to ja lubię ryzyko. Bo cóż mi innego w życiu pozostało? Na dziewczyny przecież nie pójdę, bo już nie mam z czym, to może chociaż za to nadrobię jakąś wyrafinowaną rozrywką oraz popularnością w Internetach? Jak myślicie? Dobry plan?

Każdy orze jak może, i jakoś trzeba sobie radzić. Czasy dla celebrytów nastały ciężkie. Dziś każdy to wie. Własnego medialnego coach'a jeszcze nie mam, więc na razie, po ciuchu się podpiąłem do bloga, gdzie pisze moja pani i tu się, w wolnych chwilach, lansuję 😊

Ale wracając do sedna. Zauważyłem, że ludzie lubią ryzyko, a szczególnie, gdy ryzykuje ktoś inny. To, że lubię się ślizgać, to już wiecie, więc sami rozumiecie, że przed Wielkanocą to dopiero był w domu wypas nie lada, bo pani na okrągło robiła coś w kuchni i podłogę myła po kilka razy dziennie. Można się było ślizgać do woli, że już nie wspomnę nawet o tym, co w tym czasie spadało na podłogę...

Na kociego smakosza!

Same smakołyki! A już najlepiej było, jak gniotła krówki na kajmak do mazurka i potem dała mi swoje palce do oblizania. Spróbowałem i nie uwierzyłem, że istnieje coś tak pysznego, więc zwołałem Szajbę, żeby przyszła mi powiedzieć, co to jest. Tornado też się załapał.

Pani, jak wszyscy memlaliśmy te bosko-słodkie paluchy, wyraziła nadzieję, że nie dostaniemy po tym sraczki, ale ustaliliśmy w konspirze, że nawet jak dostaniemy, to wspólnie zakopujemy pod dywan, bo inaczej drugi raz nam tego nie da.

Na to przyszedł do domu pan i dziewczyny. Zuza postawiła na stole w kuchni specjalny koszyk z różnościami i powiedziała

mojej pani, żeby uważała na Ciumka.

Że niby, na mnie?!?!?

A na co tu uważać??

Świetnie sobie w życiu radzę. Jestem urodziwy i rozgarnięty, zatem postanowiłem sprawdzić, o co chodzi. Po cichutku zakradłem się na stół i dla niepoznaki nakryłem się białą serwetką, którą buchnąłem z koszyka.

Królu złoty! Moje ulubione jajka na twardo i jeszcze kawał kiełbasy! Niebo! Byłem w połowie, jak przyłazła Zuza i mnie franca zdekonspirowała.

– Mamo! Ciumek właśnie zeżarł naszą święconkę!

Dostałem ścierką przez łeb, ale później Tornado mi bardzo podziękował, bo się załapał na resztki tej poświęconej kiełby, więc jakoś przełknąłem to połajanie i postanowiłem być grzeczny, zwłaszcza że pochowali już przede mną wszystko, poza chlebem i sernikiem.

Bo się nigdzie nie zmieścił.

Tego drugiego jeszcze nie znałem, więc jak tylko w kuchni zrobiło się pusto, dobrałem się do sernika.

Mmm, to było nawet lepsze niż te krówki. Wtanzoliłem ile się dało, ale – na kociego proroka! – w kuchni zadzwonił telefon, przyłazła Zuza, i znów zaliczyłem wpadkę.

Tym razem jednak pani uznała, że my również mamy święta.

Odkroiła całkiem spory kawałek sernika i pokruszyła nam wszystkim do misek. Szajba i Tornado znów mi dziękowali, bo sernika też wcześniej nie jedli.

A później pani wraz z panem nagrali film z życzeniami na Facebooka i podali do publicznej wiadomości, że w Wielką Sobotę zjadłem święconą kiełbasę z koszyka! Ech! Ależ poruta.

Skąd ja miałem wiedzieć, że jest sobota?!

Jak mi kupią smartfona to będę wiedział!

Nikt nie obiecywał, że będzie łatwo.

Wiecie, na popularność trzeba wytrwale i ciężko harować.

Niech sobie piszą.

Niech bzdury wygadują.

Byleby tylko nie przekręcali nazwiska ☐

To pisałem ja!

Ciumek Memlok von Frontz V

Świat według Ciumka 2

Coraz częściej nabieram przekonania, że na serio, o coś musi chodzić z tą całą świętością, o której się tyle gada. Oczywiście w moim przypadku, bowiem nie da się zaprzeczyć, że mam ku temu jakieś wrodzone inklinacje. Zapewne kiedyś wstąpię w poczet kocich świętych, ale może... po kolei 😊

Pierwszą wpadkę zaliczyłem już w styczniu. Z wodą święconą.

W sumie, smakowała jak ta zwykła, ale ta zwykła nigdy nie stoi na stoliku w salonie, w dodatku nalana na talerzyk. Państwo piją ze szklanek, więc uznałem, że to dla mnie, i sobie wypilem. Ech, znów się nasłuchałem od mojej pani. Narobiła takiego rabanu, jakbym jej zjadł co najmniej pierścioneł zaręczynowy i kilo kawioru, ale poszła do kuchni i nalała na talerz zwykłej kranówki, no to ja w międzyczasie dorwałem się

do takiej niedużej miotły, która leżała obok talerza. Jeszcze nigdy nie widziałem takiej małej, więc też pomyślałem, że to dla mnie i trochę ją potarosiłem za firanką. Też mi się dostało, ale na szczęście krótko, bo przyszedł do domu jakiś facet w czarnej sukience i się dobrał do tej mojej nowej zabawki. Dopiero po niewczasie dowiedziałem się, że to jest kropidło. Potem ten koło rozchlapał wodę z talerza po całym pokoju, ale nikt mu nic nie powiedział. Tu się, serio, zdziwiłem. No, bo jak ja rozchłapię trochę wody z miski na podłogę w kuchni, to od razu słyszę, że jestem niegrzecznym Ciumkiem, a ten gość za chlapanie po pokoju dostał kasę w kopercie.

I gdzie tu jakaś sprawiedliwość?!

A ja tak lubię chlapać! Bo wiecie, nie ma nic lepszego, niż mokra podłoga, ale zanim pani mi sprawi tę przyjemność, najpierw zamiata. Normalną miotłą, nie tą małą od tego kolesia w kiece. Uwielbiam, tak się dorwać do tych kłaków od miotły, a jeszcze lepiej wytarzać się w kupce zamiecionych śmieci. Czasem dopadnę tego kudłacza, ale to tylko dla niepoznaki, bo zasadniczo, to ja czekam, aż pani na chwilę się odwróci, do szafki po zmiotkę i szufelkę. No to ja wtedy, hyc! Brzuchem, prosto w zamiecione śmieci □

Ależ jest uciecha, no mówię Wam! Jedna z lepszych. Ale lepiej wróćmy do tej mokrej podłogi. Tu trzeba się śpieszyć, bo szybko wysycha, więc biorę rozpęd z końca salonu i jadęęęę po korytarzu na pełnej petardzie!!! Wprawdzie czasem nie daję rady wyhamować przed końcem przedpokoju i rajd kończy się efektownym zderzeniem z drzwiami, ale sami przyznacie, że sporty ekstremalne wiążą się z ryzykiem, a bez ryzyka nie ma zabawy. No tak.

Ostatnio też zrobiło się groźnie. Leżałem sobie, spokojnie rozwalony, na mokrym. Nagle patrzę ci ja, a tu leci wprost na mnie kij od mopa!!! Wierzcie, na serio, bardzo ciężko jest tak ręczo wystartować do sprintu na mokrej podłodze, więc łapami

efektownie zamięliłem w miejscu. Cudem uniknąłem katastrofy i uszedłem z życiem. Ych..., ta moja pani się popłakała ze śmiechu, jak miałem. Zupełnie jej nie rozumiem. Nie dość, że podstępnie postawiła tego mopa, to jeszcze doszły mnie słuchy, że obrabia mi zad na publicznym necie.

To pisałem ja.

Ciumek Memlok von Frontz V

Ponglish jest ok

Pamiętacie serię memów „Angielski z Tuskiem”? Bawiły mnie do łez i kompletnie nie chodziło o osobę pana przewodniczącego. Internauci tak kapitalnie przerabiali polskie przysłowia i idiomy, że można się było popłakać ze śmiechu. Nie wiem, czy nie mieli litości dla pana Tuska, ale na pewno nie mieli litości dla naszego cudownego języka. Stwierdzenie SOMETHING IS NO YES, czyli literalne COŚ JEST NIE TAK, weszło już na stałe do bazy moich ulubionych powiedzonek.

Punktem wyjścia było nieśmiertelne i znane na długo przed „Angielskim z Tuskiem” THANK YOU FROM THE MOUNTAIN TOP, czyli Z GÓRY DZIĘKUJĘ. Wykorzystanie podwójnego znaczenia słów to zresztą częsty zabieg w tych żarcikach językowych, jak na przykład w fantazyjnym tłumaczeniu tytułu filmu CZY LECI Z NAMI PILOT, czyli IS THE REMOTE CONTROL IS FLYING WITH US? □



Ale jak mawiają najstarsi twórcy memów SCIENCE DIDN'T GO TO THE FOREST, czyli NAUKA NIE POSZŁA W LAS, więc Polak w ciemną bity nie jest i sobie z angielskim zawsze poradzi. Nie będzie byle język nam ust sznurował. 0!

Pół biedy, jeśli eksperymenty językowe przebiegają na naszej pięknej, polskiej ziemi (do czego jeszcze potem wrócimy), ale za granicą to sprawa już się trochę komplikuje. Zwłaszcza, gdy delikwent wyjeżdża w celach osadniczo-zarobkowych kompletnie nie znając języka tubylców. Ale spokojnie. Polak w takich sytuacjach również sobie świetnie poradzi stosując niezawodną metodę wolnego mówienia i starannego akcentowania. Oczywiście nie angielskich a polskich słów ☐

Legendarną twórczynią tejże metody była moja znajoma. Zaznawała rozkoszy emigracji do kraju anglojęzycznego w 2005 roku, kiedy Polacy szturmem wyjeżdżali za pracą i jako pierwsi osadnicy mieli z wszystkim pod górkę.

Nie było urzędników mówiących po polsku, menu w restauracjach tylko w tym dziwnym angielskim języku a przede wszystkim nie było sklepów z polską żywnością. I to był dopiero dramat! Człowiek sobie nawet nie zdaje sprawy jak mocno jego polskie serce jest związane z kapustą kiszoną a myśl o polskich parówkach wyciska z oczu łzy nostalgii. W skrócie mówiąc Polakowi na emigracji jest potrzebne polskie żarcie. Teraz sprawa jest prosta, bo na każdym rogu angielskiej albo irlandzkiej ulicy można znaleźć polski sklepik albo chociaż

monopolowy z polskimi wyrobami prowadzony przez Pakistańczyka, ale wtedy, te trzynaście lat temu, kraje anglojęzyczne były jałową pustynią jeśli chodzi o kapustę kiszoną i inne niezbędne Polakowi do życia produkty.

Jakże więc zelektryzowała niewielką Polonię w pewnej prowincjonalnej mieścinie wiadomość, że lokalny supermarket wprowadza skromny asortyment polskich produktów. Świętym graalem była kiszona kapusta w litrowych słoikach. Każda szanująca się Polka biegła więc po kapustę. Moja znajoma naturalnie także. Zamotała się przy wejściu biduła i regału z kapustą za nic nie mogła znaleźć. Gdyby chodziło o coś innego, to pewnie by zrezygnowała, ale hełoł? Mowa o kapuście kiszonej! Po obleceniu sklepu kilka razy dookoła znajoma zrozumiała, że nie uda się bez wsparcia. Namierzyła między regałami pracownika i zaczęła energicznie gestykulować, co jak wiemy bardzo pomaga w komunikacji □

– Polska żywność? – zapytała uprzejmie.

Pracownik pokręcił głową sygnalizując, że niestety nie rozumie.

– P-0-L-S-K-A Ż-Y-W-N-O-Ś-Ć?

Pracownik dalej nic nie kumał, więc znajoma przekombinowała sobie w głowie, że pewnie „żywność” to za trudne słowo dla prostego Irlandczyka.

– P-0-L-S-K-A P-Ó-Ł-K-A? – zapytała więc z nadzieją w głosie.

W oczach znajomej zapewne było tyle desperacji, że pracownik strzelając w ciemno, zaprowadził nieszczęsną do wyśnionej kapusty kiszonej. I to, moi drodzy, już na zawsze utwierdziło dziewczynę w przekonaniu, że wystarczy mówić wolno i wyraźnie po polsku a każdy obcokrajowiec elegancko zrozumie o co chodzi.

W Polsce rzecz ma się nieco inaczej. Tutaj nie ma obowiązku

znać języka angielskiego, ale trzeba oddać sprawiedliwość naszym rodakom, że jeśli tylko mogą to starają się być uczynni i pomocni w stosunku do obcokrajowców. Nawet jeśli tłumaczenie turyście, dokąd ma iść oznacza machanie rękoma jak wiatrakami. Nie mamy żadnych kompleksów i chętnie nawiązujemy konwersację. I tu dochodzimy do drugiego sposobu mówienia po angielsku, czyli skoro znam czasowniki to niech rzeczowników domyśli się Anglik. Lub odwrotnie ☐

Piękną scenę rodzajową zaobserwowałam dosłownie kilka dni temu w Rossmanie. Jakiś cudzoziemiec miał problem z wyborem kosmetyków i uczynna ekspedientka bardzo starała mu się pomóc. Gestem i czynem. A potem mową i uczynkiem ☐ Ponieważ klient nie do końca chyba właściwie intepretował gorączkowe machanie głową, więc dziewczę powiedziało: THIS IS NOT CREAM! THIS IS PIANKA!

A to i tak jeszcze nic w porównaniu z tym co z wyrabia z naszymi językami stres ☐

Taki jeden facet pracował w międzynarodowej firmie a konkretnie w jej polskim oddziale. Angielskim władał całkiem znośnie, dopóki się biedak nie zestresował. Pewnego razu z wizytą do polskiej placówki przyleciał szef wszystkich szefów i przyjaznym tonem, po angielsku rzecz jasna, pochwalił faceta za dobrze wykonaną pracę. A ten pokraśniał i go z wrażenia zatkało a potem trzęsącym się z nerwów głosem wydukał: FUCK YOU VERY MUCH! ☐

Także, co ja tam chciałam? A! To ja się gudbaj z państwem ☐

Pani Pisarka i Pan Pisarz

Od zawsze myślałam, zresztą chyba nie tylko ja, że pisaniem książek nie zajmują się zwykli ludzie.

Że siedzi sobie taki oderwany od rzeczywistości, zwichrowany psychicznie odludek i coś tam bazgroli. Do tego, nie wiedzieć czemu, moje wyobrażenie na temat osobników zajmujących się pisarstwem miało wydźwięk mocno seksistowski.

Otóż pisarz-mężczyzna od zawsze kojarzył mi się z garbatym zaniedbanym dziadem, który mieszka sobie gdzieś daleko na odludziu. Najlepiej na jakiejś islandzkiej wyspie, w kamiennej, smaganej wiatrem chałupie, gdzie z obłędem w oczach namiętnie kopci śmierzące cygara i w amoku tłucze w klawisze. Oczywiście wszyscy w okolicy omijają dziwka szerokim łukiem, a rodzice nagminnie straszą nim dzieci marudzące nad talerzem. Wierzcie lub nie, ale do tej pory, gdy zamykam oczy, widzę gościa z wytrzeszczem i rozwichrzoną fryzurą Gargamela ☐

Ale ten piszący facet to mały pikuś, który nijak nie wytrzymuje konkurencji z nadobną koleżanką-pisarką. Otóż ta, jak już wspomniałam, nadobna oraz mocno egzaltowana niewiasta, w mych wyobrażeniach nosi nieco wypłowiałą strzyżoną „od rondla” fryzurę oraz mało twarzowe okulary w rogowych oprawkach. Tu dodam, że liczba dioptrii przekracza skalę Beauforta i szkła wyglądają jak denka od słoików. Pożółkłe zęby i broszka z kameą chyba nikogo nie zdziwią, szczególnie że ta ostatnia doskonale komponuje się z wyświechtaną kremplinową garsonką (elektryzującą na kilometr, że aż włos dęba staje i musowo wytłaczaną w kwiaty), a w najlepszym razie ze sweterkiem bliźniakiem. Klasyczna lakierowana kościółkowa torebeczka z klamerką oraz pełne buty na rozhuśtanym we wszystkie strony obcasiku typu kaczuszka, dopełniają całości pisarskiego wizerunku.

I co? Oczywiście taki opisany wyżej ktoś żyje na całkiem innym świecie niż my wszyscy. Na bank nie je i nie pije. No, może z wyjątkiem męskiej wersji, która w chwilach braku weny zalewa się burbonem. Wersja żeńska jedynie czasami umoczy usta w sherry lub w likierze, bo zwykle woli herbatę w towarzystwie kruchych ciasteczek.

Intelektualne pogaduszki o wzdychających bohaterkach nijak nie przystają do zakupów w Biedronce, biegania z odkurzaczem, czy przypalonego obiadu. Pisarz nigdy nie pokłóci się z partnerem, bo przecież moja pani pisarka musowo jest zadeklarowaną starą panną, a dziad obłąkaniec nie ma czasu na pierdoły i uwodzenie. Jedynie czasem zauważy gospodynię. Zwykle zapomina sobie, że w ogóle ją ma, a przecież ktoś donosi mu ludzką strawę, żeby nie umarł z głodu oraz wywietrzy pomieszczenia, żeby się biedak od tych cygar nie udusił □

Na dzieci, nie krzyczą, wiadomo. Bo ich nie mają, zatem opatrywanie zdartych kolan, odpytywanie z tabliczki mnożenia, sprawdzanie w necie czym odżywia się rurecznik mułowy, tudzież niespodziewany nocny trening z matematycznego haftu na technikę, zupełnie ich nie dotyczą.

Jeśli gdzieś się przemieszczają w celu pokazania się światu, odbywa się to w świetle jupiterów i w towarzystwie szofera. Bo ona przecież nie widzi za dobrze, a on- ten nie wiedzący na jakim świecie żyje – łachmyta, przez ten cholerny burbon już dawno zapomniał gdzie jest jego prawo jazdy.

Ech... □

Skąd ja cię znam?

Ostatnio dowiedziałam się od jednej znajomej, że nasza inna znajoma jest na mnie obrażona. Zdziwiłam się, zwłaszcza że z tamtą się od dość dawna nie widziałam. Kluczowe tutaj jest słowo „widziałam”.

To znaczy, jak się okazało to ja jej nie widziałam a właściwie podobno udawałam, że jej nie widzę, gdy mijałyśmy się na ulicy. Według słów znajomej omiotłam ją z obojętnym spojrzeniem i nie przywitawszy się poszłam sobie dalej.

I wiecie co? Zapewne właśnie tak było ☐

Jak siebie znam to mój mózg, zajęty układaniem historii moich książkowych bohaterów, najwyraźniej nie przetworzył danych, które gwarantują sukces w sferze społecznej, czy też po prostu w świecie rzeczywistym. Nieraz zdarzyło mi się pójść z workiem śmieci w stronę osiedlowego sklepu, bo zapomniałam podejść do śmietnika zajęta obliczaniem nośności statku kosmicznego. Albo wyjść z owego sklepu z koszykiem, bo właśnie ułożył mi się w mózgowicy plan zbrodni doskonałej w którym nie było miejsca na takie pierdoły jak pakowanie, płacenie i inne zbędne w danym momencie czynności.

Napisałam to i pogratiłowałam sobie w duchu sprytu w wytłumaczeniu się znajomym, że niby taka to ze mnie natchniona osoba, zajęta sprawami zgoła kosmicznymi, ale to tylko ułamek prawdy, którą zaraz Wam przedstawię ☐

Zanim do niej przejdę, muszę Wam powiedzieć, że opowieść znajomej o obrazie innej znajomej w gruncie rzeczy dogłębnie mnie poruszyła. Dotarło do mnie bowiem, że o mojej ułomności wiem tylko ja i może wśród osób czytających te wynurzenia są tacy, których minęłam na ulicy kompletnie ich nie rozpoznając. Tak więc, potencjalni olani znajomi, poniższa opowieść jest

Wam dedykowana wraz z serdeczną prośbą o wybaczenie 😊

Od dziecka mam problem z identyfikacją twarzy lub przypisaniem jej do konkretnego człowieka. Tak. Jest taka choroba, której nazwy nie zamierzam przywoływać, bo nikt mi nie płaci za autodiagnozę ☐ Jedno jest pewne. Przez dekady obcowania z przypadłością ustaliłam, że w moim przypadku jest to forma raczej łagodna.

No wiecie, nie jak w tym thrillerze, co babka mrugała oczami i za każdym razem mąż miał inną twarz. Ja najbliższych doskonale rozpoznaję. Z tym nie mam najmniejszego problemu. Zazwyczaj. Do rodziny jeszcze wrócimy. Obiecuję ☐

Moja przypadłość, mówiąc w dużym skrócie przybrała postać łagodną. Nie zawsze rozpoznaję ludzi, ale radzę sobie z tym w ten sposób, że zapamiętuję ich charakterystyczne cechy, głównie kolory. Ale nie tylko. Spotykając ludzi staram się zapamiętać otoczenie, w którym ich widuję. Bardzo pomocna technika, ale zawodzi, gdy ludzie zaczynają się przemieszczać 😊

Wszystko fajnie, gdy widzę moją dentystkę pochyloną nad moją gębą, ale jak podchodzi do mnie w metrze z serdecznym uśmiechem prezentując garnitur białych zębów, to nie mam pojęcia z kim mam do czynienia. Nie zgadza się miejsce, więc umyka mi twarz.

Spotykam nad morzem pana ze straganu, na którym wiosną kupuję truskawki w Warszawie i kompletnie nie kumam kim jest ten gość.

Apogeum osiągnęłam, gdy bliskiego kuzyna nie rozpoznałam na koncercie, bowiem dotychczas widywałam go wyłącznie na imprezach rodzinnych ☐

Wierzcie lub nie, ale ta przypadłość mocno komplikuje życie. Nigdy nie wiesz, czy osobę, którą ci przedstawiają należy powitać jako znanego ziomka, czy uprzejmie się przedstawić na

dobry początek znajomości. Kiedyś przedstawiłam się dziewczynie, z którą spędziłam wcześniej dwa tygodnie pod namiotami 😊

Nigdy nie sądziłam jednak, że moja przypadłość nierozpoznawania twarzy zrobi ze mnie rasistę ☐
Ponad dekadę temu szukałam i z powodzeniem znalazłam nauczyciela angielskiego dla mojej córki. Miał skomplikowany życiorys, ale generalnie przyjechał z Nigerii, władał brytyjskim angielskim, był czarny jak listopadowa noc i bardzo sympatyczny.

Był jedynym czarnoskórym gościem w moim domu, więc bez stresu rozpoznawałam go za każdym razem, gdy przychodził 😊

To było w drugim albo trzecim roku nauki mojej młodej, gdy ów Nigeryjczyk przerwał lekcję i wszedł do kuchni. Minę miał uroczystą.

– Co jest? – zapytałam.

– Dzisiaj wygrał Obama! – powiedział z entuzjazmem.

– No wiem – odparłam uprzejmie a w duchu się zastanawiałam, co chłopaka mieszkającego w Polsce może obchodzić prezydent zza oceanu.

– Jestem dumny z niego – dodał Nigeryjczyk

– A mi to prawdę mówiąc kompletnie obojętne kto wygrał – odparłam.

Chłopak uśmiechnął się i nie skomentował.

Zajęło mi kilkanaście dni by skumać, że Obama jest czarnoskóry bo najwyraźniej jestem ślepą rasistką nierozpoznającą twarzy ☐

Śpiewać (nie) każdy może

A zwłaszcza ja.

Znów miałam w nocy piękny sen. Stałam na scenie i śpiewałam. Tak totalnie, na cały głos. Pełną piersią. Wspaniałe uczucie, jak ten cudowny głos wychodził gdzieś z głębi. Dosłownie czułam go w trzewiach. Widocznie mocno wczułam się w ten sen, bo jeśli wierzyć relacji męża, emitowałam jakieś makabryczne jęki potępieńcze i wszystkich obudziłam.

No i tyle mojego.

Na marzenie o śpiewaniu mogę się łąpać tylko we śnie, ponieważ na żywo mam zakaz. Ech, żeby to jeszcze było jakieś dziedziczne i można było zwalić na geny, ale nie. Świętej pamięci dziadek robił za baryton w Chórze Juranda i w słynnych Rewelarsach, mama śpiewała u Muniaka, a tata, w czasie studiów, z sukcesem przygrywał do kotleta na sopockim Monciaku.

A tu taki niewypał się urodził. Całkowicie upośledzony wokalnie.

Jeszcze w dzieciństwie mama próbowała coś ze mnie wycisnąć, w nadziei że głos da się jakoś wytrenować, niestety mojego się nie da. Ja wiem, że niektórzy okropnie fałszują, ale to co ja robię wymyka się wszelkim definicjom. Do tego pokarało mnie podwójnie, bo przy tym mam absolutny słuch, tylko co z tego, skoro nie potrafię wydusić z siebie nawet jednego poprawnie czystego dźwięku? Nawet nie śpiewam „Sto lat!”.

Panie od muzyki zawsze myślały, że ja udaję i pałowały mnie równo. Kiedyś zaliczyłam nawet niedostateczny na koniec roku,

ale mnie jakoś za uszy wyciągnęli, bo chyba nie ma takich cudów, żeby przy przyzwoitej średniej nie przejść przez pałę z muzyki 😊

Pamiętam też pewne zdarzenie sprzed lat, kiedy to dyrektor mojego liceum wymyślił sobie szkolny chór. Ogłoszono termin przesłuchań. Rzecz jasna nikt nie był głupi i każdy z nas wolał robić inne, dużo ciekawsze rzeczy niż kandydować na śpiewaka, wobec czego na spotkaniu nie pojawił się nikt. No to dyrektor wziął się na sposób i kazał każdemu wychowawcy wytypować do chóru po cztery osoby z klasy. Oczywiście padło też na mnie. Jako że zawsze trzymały się mnie różne wygłupy, wychowawca od razu mimo uszu puścił moje żarliwe zapewnienie, że ja NAPRAWDĘ nie umiem śpiewać. No, gorzej już wdepnąć się nie da. Cóż było robić? Trzeba było zacisnąć zęby i iść na przesłuchanie. Jak żywą, pamiętam pomalowaną na wściekły zielony groszek aulę. A swoją drogą to ciekawe, że po dziś dzień szkolne lamperie nadal występują w dwóch jedynie słusznych kolorach. Właśnie ten urywający gałki oczne groszek, ewentualnie coś w różnych odcieniach brudnego pomarańcza. Ale zostawiając kolorystyczną dygresję na boku, to w tej auli, na scenie, siedział łysy gość i z zapałem brzdąkał gamę na pianinie, które nie wiedziało co to stroiciel, a wokół podpierało ściany kilkudziesięciu znudzonych skazańców. Zaczęło się. Gość już na początku ustalił, że ci, co się nie nadają, mają stawać po prawej, a ci dobrze rokujący, po lewej. Ależ to były emocje. A największe były wtedy, kiedy przy moim trzecim podejściu do śpiewania ten łysy nie wytrzymał ciśnienia i wywalił mnie za drzwi ☐

Zatem sami widzicie, że temat śpiewania spędza mi sen z powiek od dawna i jak widać, to nawet we śnie, kiedy to spędza sen z powiek również i moim domownikom.

Jakiś czas temu wpadłam na świetny pomysł, że będę śpiewać w samochodzie. Muzyka na pełny regulator tak, żebym się nie słyszała i opór decha! Ileż to razy wracałam z chrypką, a mąż

myślał, że na wyjeździe balowałam po całości. Przez jakiś czas działało, dopóki wraz ze zmianą zajęcia nie zmienił się cel moich podróży. Ostatnio wszystkie moje wyjazdy związane są głównie z gadaniem, a przecież rycząc wraz z Rammstienem na trasie Kraków- Wrocław można stracić głos wielokrotnie.

Nie ma lekko. Dobrze, że chociaż istnieje vocaler 😊

Gruszki na wierzbie

Zapewne pamiętacie mój niegdysiejszy felieton na temat ogrodniczych zmagania pewnego faceta oraz mnie w roli zaprawionej w bojach konsultantki od ogrodów. [Jeśli nie pamiętacie to zapraszam do lektury tamtego wpisu, bo to ważne](#) <==== (kliknij) ☐

No, i sami widzicie... Od tamtej pory nic się nie zmieniło. Nadal jestem lewa w „te klocki” i to mąż nieustannie dzierży w domu palmę ogrodnictwa, twierdząc że ja nawet trawnika równo skosić nie potrafię. Zatem kosiarki nie tykam.

Z ogrodnictwa zazwyczaj najlepiej wychodzi mi gotowa, wyrosnięta sałata z Lidla i ewentualnie kiełki, oczywiście jak się trafi sytuacja, że jakaś lucerna albo brokuł bardzo, ale to BARDZO chce wykiełkować w mojej kuchni. Mnie to prędzej zaowocuje masło w lodówce albo silikon w brodziku obsypany modrym kwieciem, niż uchwyci się jakaś potrzebna roślina.

Ale wiecie... W życiu nie ma tak, że zawsze wszystko wychodzi człowiekowi źle i choć nasz ogród, to niezmiennie męzowska domena, ja również mam tu na swoim koncie pewne drobne ogrodnicze zasługi ☐

Otóż, wiele lat temu, wymarzyliśmy sobie skalny ogródek z iglakami oraz pergolę z czerwoną, pnącą różą, która to róża oplatałaby ową. Ze skalniakiem nie było problemu, bo pewnej czerwcowej niedzieli trafiliśmy na targi ogrodnicze, zatem kupiliśmy co trzeba. Już wcześniej wyszabrowaliśmy w jakimś kamieniołomie okazałe białe kamole, więc wypadało tylko dokupić korę i zaaranżować nasze pierwsze ogrodnicze dzieło. Wyszło świetnie, choć ludzie idący na sumę zerkali na nas bykiem, że sadzimy przy niedzieli, ale to wcale nie przeszkadzało komuś z wiernych, w nocy, rąbnąć nam wszystkie nowe rośliny. No nic. Okolice widać szemrana i wcześniej nie znaleźliśmy jej od tej strony, zatem stwierdziliśmy, że najpierw zrobimy ogrodzenie, a później zajmiemy się ozdabianiem najbliższego otoczenia.

Zeszło zatem na róże, ponieważ po wsadzeniu wyglądają... hmm, no właśnie, wcale nie wyglądają.

O istnieniu Internetu nikt jeszcze wtedy nie słyszał, więc udaliśmy się do jedyne go ogrodniczego sklepu w mieście i radośnie nabyliśmy dwie różane sadzonki. Już po miesiącu okazało się, że to zwykłe niskopienne róże i żadna z nich nie jest czerwona. Nie będę się tutaj rozpisywać o każdej próbie, bowiem w naszej karierze kupiliśmy minimum 30 krzewów róż.

Rzecz jasna, wszystkie kupowane były jako pewniaki, czyli jako czerwone i pnące. Przy każdym zakupie sprzedawca walił się w piersi, że aż echo szło. „Panie!!! Przysięgam! Czerwone i pnące! Jak bum! cyk! cyk!”.

Cóż, trafiały nam się różne wariacje, ale ani jedna nie była taka, jaką sobie wymarzyliśmy 😊 Po latach daliśmy sobie spokój i róż już nie mamy, za to, dla wygody, na część ogródka, kupiliśmy w zeszłym roku tak zwaną „korę kamienną”, i wiecie co?

Właśnie doczekaliśmy się cudu nad Wisłą!

Wprawdzie czerwona i pnąca róża na tych kamieniach nam nie

wyrosła, ale za to mamy tam wysyp smardzów! Tu pomnę fakt, że nieopodal zakopałam grzybnię z podgrzybków, albowiem z cudami się nie dyskutuje 😊

Fakt, trochę się boję.

Wczoraj posadziliśmy koktajłowe pomidorki.

Obawiam się, że w zamian wyrosną dynie albo kabaczki.

Nawet nie chcę myśleć, co nam wzejdzie z nasion szczypiorku i pietruszkowej naci. Generalnie, może być wesoło, bo jak sobie przypomnę, że jako kilkuletnie dziecko posadziłam na działce krzew kwitnącego migdałowca, a wyrosła z niego dorodna śliwa mirabelka i owocuje po dziś dzień, to nie dziwcie się, że mamy lekkiego stresu ☐

Aż się boję o ten szczypiorek, że będzie z niego jakiś jałowiec, tudzież inny ciernisty krzew gorejący albo przynajmniej palma daktyłowa.

Sami zatem rozumiecie, że w tej sytuacji kupić w sklepie wino, to już na serio jest strach.

Bo co będzie jak taki cabernet przypadkiem w rosół się przemieni albo, co gorsza, w wodę?

No co?

☐

Pizama day party

Dziś, stojąc samochodem na czerwonym świetle, ujrzałam jak z

sąsiedniego samochodu wysiadł mężczyzna w piżamie i szlafroku. Cóż, zimno dziś, zatem szlafrok nie dziwi. Ale w piżamie? Właściwie nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby to było na przykład pod jakimś domem albo blokiem. Przecież facet mógł wyjść ze szpitala i ktoś go podwiózł, prawda? Ale nie, wysadzono gościa pod placem targowym i najnormalniej w świecie poczłapał sobie w bamboszach na zakupy. Kurczę, a może rzeczywiście wyszedł ze szpitala, miał w domu pustą lodówkę i chciał przed powrotem zrobić zakupy?

Dość na tym, że zwrócił na siebie uwagę i niejeden się za nim obejrzał. Ja też 😊 Ale jako, że hipokrytką nie jestem to przytoczę tu własną piżamową akcję, kiedy to pewnej wakacyjnej nocy wylądowałam z dusznościami w kieleckim szpitalu wojskowym. Karetka zgarnęła mnie wtedy prosto z lasu, właśnie w piżamie. Do tego mój zaspany mąż wyposażył mnie na drogę w kosmetyczkę, polarowy pled, grube spodnie od dresu oraz za duże na mnie, o pięć rozmiarów, adidas my córki.

Do rana zdążyłam ozdrowieć, więc mniej więcej koło ósmej wypisano mnie ze szpitala. Zadzwoniłam więc do męża, żeby po mnie przyjechał, a że miał prawie godzinę jazdy, zatem za wygrzebane z dna kosmetyczki drobniaki kupiłam sobie w automacie dużą coca-colę i wyszłam na zewnątrz. Upał w tamtym czasie panował niemiłosierny, więc darowałam sobie spodnie od dresu i przycupnęłam na szpitalnym ogrodzeniu. W końcu baba w piżamie, w bezpośredniej bliskości szpitala, to nie dziwota, więc w oczekiwaniu na męża spokojnie obaliłam colę i ciupnęłam kilka partyjek w Candy Crush.

Niestety, po godzinie okazało się, że mój ślubny jeszcze nawet z miejsca nie ruszył, bo zatrzasnął się domku i nie mógł wyjść. Korzystając z reszty baterii w telefonie zorganizowałam mu ewakuację i mając przed sobą kolejną godzinę sterczenia pod szpitalem, przeniosłam się na skwerek i zainstalowałam w cieniu, pod drzewem. Ułożyłam się plackiem na kocu i z niemałą przyjemnością zagapiłam na liście.

Ech, mój błogostan nie trwał długo, ponieważ każdy przechodzień myślał, że zasłabłam albo umarłam, więc podchodził i pytał czy dobrze się czuję. Kurczę, nigdy nie czułam się lepiej, a po końskiej dawce sterydów jaką zaaplikowano mi w nocy, mogłam w kwadrans przenieść Kopiec Kościuszki z Krakowa do Sopotu!

Zdenerwowana, że mi przeszkadzają, przewróciłam się na brzuch i zaczęłam machać nogami, żeby było widać, że żyję. Kurczę, bateria zaczęła pikać coraz częściej, a w Candy Crush skończyły mi się życia, więc z nudów postanowiłam zrobić porządek w kosmetyczce. Przy okazji zrobiłam też pełny makijaż.

W szpitalu personel skończył właśnie nocny dyżur, a ja kątem oka zauważyłam, że dużo ludzi wyszło sobie na spacer i niektórzy robią mi zdjęcia. A co tam! Światło było dobre, a ja nie mając nic lepszego do roboty, znalazłszy pęsetę, przystąpiłam do żmudnej czynności regulowania łuków brwiowych.

Nagle rzuciło mi się w oczy, że chyba wszyscy pracownicy szpitala właśnie postanowili wyjść na papierosa. Ludzie w białych kitlach niby mimochodem krążyli obok i zerkali dyskretnie w moją stronę. Mych uszu, doszły też komentarze, czy aby na pewno nie uciekłam z psychiatryka. Jedna z pielęgniarek na widok pęsety nie wytrzymała i szturchnęła koleżankę w bok, mówiąc: „Ty, Zosia, patrz! Pewnie jakaś jeb...ta!”.

Gdyby nie to, że mój pęcherz właśnie odnotował świeżą dostawę wypitych wcześniej napojów, pewnie umarłabym ze śmiechu, ale zważywszy na fakt, że toaleta jest w szpitalu, a przedrzeć się przez izbę przyjęć wcale nie jest tak łatwo, dotarła do mnie groza całej sytuacji. Pobliskie krzaczki również nie wchodziły w grę, a sprawa zaczynała robić się poważna, ale jak tylko sobie pomyślałam, że kolejne dwadzieścia cztery mogę spędzić w innej państwowej instytucji, postanowiłam być twarda. Na dodatek, po całej nieprzespanej nocy, wypisali mnie na

głodniaka, a żołądek właśnie zaczął głośno upominać się o swoje.

Telefon. Odebrałam, szczęśliwa że mąż właśnie przybył na ratunek, ale niestety. Zadzwoił tylko po to, żeby mi powiedzieć, że w Kielcach jest remont drogi, sterczy w korku i nie wiadomo kiedy dojedzie.

Blisko trzygodzinne koczowanie na skwerku przy ruchliwej ulicy w centrum miasta, było doznaniem ciekawym, ale jeszcze ciekawszym była wizyta w McDonalddie, ponieważ od razu po przybyciu męża zażądałam wizyty w najbliższej toalecie i to NATYCHMIAST. Pusty żołądek również nie pozwolił stamtąd odjechać bez jedzenia, więc nie oglądając się na osłupiałą klientelę wparowałam do środka rozczochrana, w piżamie, w za dużych o pięć rozmiarów adidasach oraz z eleganckim make-up'em, i zapodałam sobie bułkę.

Mąż, na wszelki wypadek, stanął nieco dalej 😊

Wściekły toperz

Ech, nie ma to jak czasem wywieźć na kilka dni rodzinę gdzieś poza miasto.

Otóż pewnego długiego czerwcowego weekendu postanowiliśmy udać się do drewnianego domku, gdzieś pod lasem. Naście lat temu to było, ale do dziś dokładnie pamiętam każdy szczegół, a już najbardziej pamiętam, że jak tylko przyjechaliśmy na miejsce, w środę po południu, to zaczęło lać i lało do soboty, co przy dwójce mniej więcej dwuletnich dzieci i braku domowych czasoumilaczy, ów pobyt mógł wyryć głęboką bliznę w psychice każdego normalnego rodzica.

W pierwszą przerwę pomiędzy jednym intensywnym opadem deszczu a drugim, moje dziatki wypuszczone na wolność, rączo pognały przed siebie. Oczywiście jedno w lewo, a drugie w prawo. Najpierw pobiegłam za tym, co radośnie pocwałowało w stronę wezbranego potoku, po czym zabrałam się za łapanie drugiego, które pognało pomiędzy pozostałe letniskowe domki. Jakież było moje zdziwienie, kiedy to usłyszałam szczebiot dziecięcia mego, które z szerokim uśmiechem wypadło zza sąsiedniej chałupki, zatrzymało się i upewniwszy się, że patrzę, efektownie pociągnęło z butelki solidny łyk zimnego tyskiego. Komu ukradła? Do dziś nie wiem, bo obeszałam okoliczne domki z pytaniem czy komuś przypadkiem nie zginęło piwo. Nie zdążyłam zapytać w tych dalszych, bo znowu lunęło. W międzyczasie, drugie dziecię dobrało się do piwa męża mego, na szczęście jeszcze nie zdążył otworzyć 😊

W drugiej przerwie pomiędzy opadem gradu i deszczu, dziatki me miłe uprzejme były zaznać zbiorowej kąpieli w oczku wodnym, a na wypadek, jakby tego było mało, jedna z mych córek, korzystając z sekundy naszej nieuwagi, ustawiła się centralnie pod rurą spustową od rynny i radośnie spuściła sobie prysznic.

Szczęściem przeogromnym, mamy takich jednych niezbyt racjonalnie myślących znajomych, którzy to w tych strasznych okolicznościach postanowili nas wspomóc i do nas dołączyć, tak więc po dwóch godzinach mieliśmy już w domku farelkę do suszenia ciuchów, video, dwadzieścia kaset VHS z bajkami i czterolatkę do kompletu. Nastął spokój. A przynajmniej jeśli idzie o dzieci, bowiem mąż mój osobisty tak szczęśliwy, że znajomi przybyli z odsieczą, postanowił nastraszyć dziewczyny.

Czyli koleżankę i mnie 😊

W lesie, jakimś cudem ucapił nietoperza i nie zawahał się go użyć. Przyniósł go do domu i strasznie się ucieszył, że krzyczymy 😊

Dość na tym, że z wielkim hukiem wyleciał na zewnątrz wraz z przerażoną latającą myszą i niezwykle rad był z udanego dowcipu. I w sumie to by było na tyle, gdyby nie fakt, że po powrocie do domu mój mąż znalazł na palcu niewielkie zaczerwienienie. Na moje pytanie czy aby nie ugryzł go nietoperz, mój ślubny pobladł straszliwie i drżącym głosem zapytał, czy nietoperki przypadkiem nie roznoszą wścieklizny...

No, rychło w czas ta refleksja, ale nie było na co czekać. W niedzielę wieczorem nie za bardzo było gdzie pytać, Internetu wtedy jeszcze nie mieliśmy, zatem zadzwoniłam do znajomej internistki. Niestety nie wiedziała. Pediatra i ginekolog też nie wiedzieli, więc zadzwoniłam do weterynarza. Rozmowa wyglądała mniej więcej tak:

– Dzień dobry doktorze. Iza Frączyk.

– O, witam, pani Izo, znowu coś się stało kotkowi?

– Nie, doktorze, dziękuję, kot zdrowy. Tym razem dzwonię w sprawie męża- powiedziałam i w skrócie wyłuszczyłam sprawę nietoperzy.

No niestety, nosiciele jak złoto. Mąż mój pobladł jeszcze mocnej i z pamięci zacytował sobie radiowy komunikat z „Lata z Radiem” o serii bolesnych zastrzyków w brzuch. W pięć minut był w drodze do szpitala. Na szczęście zastrzyków jest tylko trzy i to nie w brzuch, tylko w ramię, więc wrócił uradowany. Jak się koniec końców okazało to nie były przelewki. Jako że wścieklizna to choroba zwalczana z urzędu, odpowiednie służby mają prawo doprowadzić pacjenta siłą na kolejny zastrzyk, a mój mąż... sobie zapomniał o ostatniej dawce ... 😊

Dość na tym, że na koniec trzeba było sporządzić odpowiedni raport do Sanepidu i dokładnie opisać całe zdarzenie. Dałam z siebie wszystko 😊 Dobrze, że wtedy jeszcze nie pisałam książek, bo chyba nikt by nie uwierzył w barwną opowieść, jak to mój Bogu ducha winny mąż szedł sobie spokojnie przez las i

nagle został napadnięty przez wściekłego toperza krwiopijcę, który podstępnie, zza krzaka, rzucił się na niewinnego turystę.

Niebezpieczne książki

Już nawet i za dawnych lat książki nie miały łatwego życia. Wszyscy przecież uczyliśmy się o płonących onegdaj stosach heretyckich wymysłów. Do tego, pewnie nikt nie zliczy ileż to książek uratowało ludziom życie służąc za opał, czy jako miejsce do spania. Ileż one kulawych stołów uratowały oraz krzesel! Już nawet nie wspomnę, ile z nich uratowało ludzkie dusze, bo tego zliczyć się nie da 😊

Wśród całego księgozbioru ludzkości znajdują się również książki takie, które potrafią ludziom zaszkodzić, a niektóre z nich nigdy nie powinny ujrzeć światła dziennego. I nie mam tu wcale na myśli fanatycznych rojeń, pisanych na akord, typu Dzieła Lenina zajmujące cały regał i do tego nikt za bardzo nie wie, o czym te księgi traktują. Otóż chcąc Was przestrzec, mam tutaj na myśli szeroko pojęte poradniki, które od jakiegoś czasu roją się jak grzyby po deszczu i zazwyczaj nic wartościowego nie wnoszą. Piszę „zazwyczaj”, bo niekiedy coś tam wnoszą i niektóre z nich wypadałoby trzymać pod prądem, ponieważ ich lektura może spowodować skutki ze wszech miar szkodliwe dla otoczenia. Nawet lawinowo. Ja sama jestem tego najlepszym przykładem ☐

Zawsze szkoda mi było czasu na poradniki i nigdy w życiu nie wpadłabym na to, żeby sobie jakiś kupić. Masa szkoleń, swego czasu próbujących mnie przekarmić korporacyjną sieczką, zrobiła swoje. Jestem odporna na wszelkie poradniki niczym

guma na korozję i żadnego kitu wcisnąć sobie nie dam. A przynajmniej tak mi się zawsze wydawało, do momentu kiedy to naście lat temu kolega sprezentował mi poradnik o tym, jak stać się asertywnym. Ha! Zawsze miewałam trudności z mówieniem „nie”, a co gorsza, że jeśli nawet już to „nie” jakimś cudem udało mi się z siebie wydusić, od razu pojawiały się wyrzuty sumienia. Klasyka gatunku, zatem łaskawym okiem rzuciłam na książkę, a że była dość cienka przygarnęłam ją wieczorkiem do poduszki. Przeczytałam tylko wstęp...

A potem było to tak.

Moja mama i mój mąż mają imieniny w odstępie kilku dni, dlatego też zwykle świętujemy wspólnie i za tak zwanym jednym zamachem. Również i tym razem padło na naszą ulubioną restaurację, więc wszyscy chętnie przyklasnęli pomysłowi. Ja nie wiem, co mnie wtedy podkusiło, żeby wyłazić przed orkiestrę, bo zaproponowałam mamie, że sama zadzwonię do restauracji i zarezerwuję dla wszystkich stolik na niedzielę. Nieświadoma, w co się pakuję, wzięłam to zadanie na siebie i w trzy minuty załatwiłam temat. W sumie to nie moje imieniny, ale co tam. Niech będzie, że jestem uczynna. A co!

No i nastąpiła ta feralna niedziela, kiedy to niczego nieświadomi wraz z mężem wstaliśmy nie o tej godzinie co potrzeba, bo tradycyjnie już zapomnieliśmy, że właśnie przestawili czas na letni. Jeszcze dobrze nie zdążyliśmy oczu otworzyć, jak zadzwoniła moja teściowa i drżącym głosem oznajmiła, że teść bardzo źle się czuje na serce, i że w związku z tym nie przyjdą na imieniny. Chwilę trwało zanim do nas dotarło, że właśnie odpadła nam 1/3 gości, że my mamy tyły czasowe i się nie wyrobimy, i może by tak przesunąć termin o tydzień. No to ja za telefon i dzwonię do mamy. Na to mama mnie opieprzyła, że nie ma na ten dzień obiadu, że jej popsuliśmy imieniny, i że ma nas w nosie. No to ja się wściekłam i zadzwoniłam do taty, żeby powiedział mamie, że to nie są moje imieniny, a imieniny bez gości to raczej słabo. Zdenerwowałam się bardzo i przy okazji nakrzyczałam na tatę,

że mama nie odbiera telefonów, bo mama i tak się obraziła, ale w międzyczasie zdążyła już zadzwonić do mojej teściowej i się pożalić, że jesteśmy fujary, bo nie umiemy sobie zegarka przestawić. Na to teść bardzo się zdenerwował, że to wszystko jego wina, bo jakby nie był chory to by nie było afery. Do tego wszystkiego spadł mu poziom cukru we krwi i trzeba było wzywać pogotowie. Mojej teściowej naraz gwałtownie skoczyło ciśnienie i zadzwoniła do mojego męża, że teść się roztrząsł i właśnie jedzie do nich obojga karetka, ale w międzyczasie mój tata dodzwonił się do mnie zapytać, co tak naprawdę się stało, bo mama się do niego nie odzywa. Mnie już wtedy na serio puściło i powiedziałam tacie, gdzie mam wszystkich z ich zakichanym obiadem, imieninami, palpitacjami i umieraniem. Z pianą na ustach położyłam się do łóżka, w drodze rugając po całości męża próbującego mnie uspokoić. Na koniec, mój tata wreszcie dodzwonił się do mojego męża, który już rozłączył się z teściami, i zapytał:

– Stary? Co tam się u was dzieje? Czy coś się stało Izabeli?

– Nie wiem tato, huknęła drzwiami od sypialni i nie powtórzę, co mi powiedziała, bo nie wypada.

W końcu się obaj naradzili, że trzeba sprawdzić, co u mnie, bo jeśli jeszcze ja zacznę korkować to koniec.

Poradnik zadziałał! Jeszcze nigdy tak głośno nie płakałam ze śmiechu 😊

Imieniny w pełnej zgodzie i w pełnym zdrowiu odbyły się tydzień później. Ja od tamtej pory nie rezerwuję żadnych stolików, ale niestety tamtego dnia mąż zabrał mi książkę...

...a z wielką przyjemnością przeczytałabym chociaż pierwszy rozdział 😊